

Kraj, którego nie było. Ochrona przyrody na ziemiach polskich pod zaborami (część 2)

W XIX wieku stało się jasne, że intensywna działalność człowieka nie tylko odziera świat z przyrodniczego piękna dzikich krajobrazów, ale także powoduje inne dramatyczne skutki. Z powierzchni ziemi bezpowrotnie znikają całe gatunki. Pionierskie próby powstrzymania tego tragicznego procesu miały w przyszłości przerodzić się w zorganizowaną ochronę gatunkową. Pierwszymi grupami zwierząt, które przyciągnęły uwagę działaczy były te wyjątkowo nam bliskie i podziwiane ptaki i ssaki.

W obronie świstacząt i dzikich kóz

Tatry, będące wcześniej dobrami królewskimi, zostały po rozbiorach Polski podzielone na liczne drobne posiadłości. Wynikający z tego chaos sprzyjał kłusownikom, którzy bez większych przeszkód penetrowali strzeżone dotychczas tereny i zapuszczali się w coraz wyższe partie gór. Polowania na kozice i świstaki doprowadziły do tak znacznego przetrzebienia ich populacji, że już na początku XIX wieku pierwsi taternicy i badacze dostrzegli w tym palący problem. Ludwik Zajsner, etnograf, przyrodnik rozmiłowany w Tatrach i pionier ich ochrony, podawał, że według górali na wolności żyła już mniej niż setka świstaków a liczba ta zmniejszy się z pewnością, jeżeli rząd nie podejmie żadnych kroków w celu ich ochrony. Na szczęście zostały one zainicjowane przez kontynuatorów dzieła Zajsnera.

U P O M N I E N I E

Zakopianów i wszystkich Podhalańców

aby nie tępill

świstaków i kóz.

Niedawno lata, gdy podróżni przybywający z dalekich nieraz ziem coraz liczniej zaczęli zwiedzać hale wasze, zamieszkując częstokroć między wami na całe lato. Było między nimi wiele ludzi uczonych, lekarzy, profesorów, księży, malarzy. Chodzili z wami po halach i turniach; jedni zbierali rośliny, drudzy wywiadywali się o rybach i ptakach, inni zbierali owady, jeszcze inni spisywali wasze piosnećki, mierzyli szczyty, rozbierali wody, jak się to stało z Jaszczurówką, rysowali, malowali, opisywali góry wasze i zachęcali do ich zwiedzania.

Pięknie to było czytać w tych opisach o kozach i świstakach, i o tém, żeście ludzie rozumni, gościnni, pracowici, że lubicie naukę i książki.

Ale od niejakięoś czasu znowu inne, wcale nieładne, owszem bardzo szpetne rozchodzą się po świecie mowy o was, mianowicie to, żeście niemal do szczętu wytępill biedne świstaczęta, a i kóz już nie wiele.

1

Pierwsza strona „Upomnienia Zakopianów i wszystkich Podhalańców aby nie tępill świstaków i kóz” M. Siła Nowicki i E. Janota, Kraków 1856; reprint nakładem Wydawnictwa Tatrzańskiego Parku Narodowego, Zakopane 2004

Późną jesienią 1865 roku z podhalańskich ambon popłynęły słowa, których dotąd nie słyszano w cieniu polskich gór, których mało kto się spodziewał, a jeśli nawet – to wypowiedzianych w zupełnie innych okolicznościach. Niejednego adresata zapewne zawstydziły, a wielu mogły rozsierdzić: *Od jakiegoś czasu znowu inne, wcale nieładne, owszem bardzo szpetne rozchodzą się po świecie mowy o was [góralach], mianowicie to, żeście niemal do szczętu wytępill biedne świstaczęta, a i kóz już niewiele. I dlaczegożcie to zrobili? pytał w czytany przez duchownych tekście anonimowy obrońca górskiej fauny. Otóż dla brzydkiego zysku, chociaż uczciwie wiele zarabiać*

*Kraj, którego nie było. Ochrona przyrody
na ziemiach polskich pod zaborami (część
2)*

2

możecie; dla zabobonu, bo wierzycie w gusa, jak pogany, dla nierozumu, bo wierzycie ludziom, co was oszukują i z waszego nierozsądku żyją. A nie był to bynajmniej koniec upomnienia. Bo w istocie było to *Upomnienie Zakopianów i wszystkich Podhalańców aby nie tępili świstaków i kóz* – pełna pasji odezwa, której autor potępiał wybijanie wyjątkowych „zwierząt halskich”.

Utrzymana w tonie listu pasterskiego, napisana została językiem prostym, lecz barwnym i dosadnym, doskonale dopasowanym do potrzeb niewykształconego odbiorcy, a argumenty w niej przywołane, choć na wskroś logiczne, miały przede wszystkim apelować do serc i sumień głęboko religijnych mieszkańców Podhala. Autor już na wstępie przypominał: *każde zwierzę jest stworzeniem Bożym, zupełnie tak samo jak i człowiek, [...] tak samo cieszy się życiem, [...] jemu życie tak miłe, jak człowiekowi. [...] Kto więc zwierzęta, mianowicie niewinne, nieszkodliwe, a zresztą na nic nieprzydatne albo pożyteczne, męczy, dręczy, zabija, popełnia grzech przeciw piątemu przykazaniu Bożemu: „Nie zabijaj”*. Powoływał się przy tym na katechizm religii, nazywając grzechem zarówno każdą krzywdę wyrządzoną zwierzętom, jak i korzystanie z jej owoców. Zdanie to odnosiło się przede wszystkim do tych, którzy ulegali żądaniom miejscowych i przyjezdnych poszukujących świstaczego sadła, uważanego za panaceum na liczne dolegliwości. Wiara w jego cudowne właściwości była na tyle głęboko zakorzeniona i powszechna, że samo piętnowanie jej jako zabobonu niegodnego ludzi rozumnych i wierzących, dających się w dodatku haniebnie oszukać, mogło nie wywrzeć wrażenia na słuchaczach stosujących go „z dziada pradziada”.



„Wszedłszy na przełęcz, zapytałem Jonka, jaką ilość świstaków ma nadzieję znaleźć? Na co tenże odrzekł; W tej okolicy jest jeszcze tylko jeden h w i z d a r, ale piękny, i tego spodziewam się dziś dostać. A gdym zagadnął: Ależ Jonku, wy te zwierzęta całkiem wytępicie, a możecie już i wytępil, odpowiedział mi na to: No panie, jak nie będzie już żadnego, to przeniosę je z Kolbachu wielkiego i puszcę na wolność.” Cytat i ilustracja z pracy Maksymiliana Siły Nowickiego „O świstaku (Arctomys

Kraj, którego nie było. Ochrona przyrody na ziemiach polskich pod zaborami (część 2)

marmota, Alpenmurmeltier), Osobne odbicie z T. XXXIII Roczn. c. k. Tow. nauk. krak. uzupełnione i tablicą litografowaną ozdobioną”, Kraków, 1865. Źródło: Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa

Co innego zawarty w upomnieniu szereg rad i przepisów jak z przydrożnego ziela sporządzić lek, który wyleczy dolegliwość taniej i na pewno skutecznej, a co najważniejsze bez szkody dla zwierząt, który stanowił już konkretną alternatywę dla tego zwyczaju. Autor ulotki doskonale znał realia życia na Podhalu i samych ludzi, ich zalety i przywary. I z wiedzy tej z powodzeniem korzystał. Usprawiedliwiał co prawda niewiedzę górali, lecz jednocześnie stawiał wymagania nowo oświeconym, teraz już świadomym problemu słuchaczom, którzy stawali się również odpowiedzialni za dobrostan zwierząt. Choć już na wstępie chwalił ich jako ludzi rozumnych, gościnnych i pracowitych, nie omieszkał wytknąć wszystkich niegodziwości, jakich dopuszczano się wobec tatrzańskich zwierząt. Co więcej, winnych wymieniał z imienia i nazwiska.

Kto wie, ilu Podhalan zmieniło nastawienie do medycyny po tym, jak usłyszało, że „ohydna i bezbożna Hanka Kicina z Rogoźnika” to nie tylko głupia baba, ale i oszustka, sprzedająca tłuszcz zajęczy zamiast świstaczego, a Jarząbek z Zakopanego dokonał czynu haniebnego zabijając kozicę z młodym, tak jak inni „strzelali samice w chwili, gdy rodziły”. Metoda była może brutalna, ale trudno odmówić jej skuteczności w odniesieniu do krewkich mieszkańców Podhala. Autor nie szczędził ostrych słów także wobec metod polowania. Bezwzględne mordowanie kozic całymi rodzinami, bez litości dla samic i młodych nazywał hańbą i okrucieństwem, a zabijanie świstaków podczas snu zimowego „szatańską podłością”. Ostatni mocny akcent „Upomnienia” stanowiła mroczna wizja wytępienia zwierząt (jak to miało miejsce w innych krajach) obraz pustych, milczących hal i turni, gdzie próżno by szukać tak świstaka, jak turysty, którego w góry przyciągała możliwość spotkania z górską fauną.

Nawróceni kłusownicy - od skrytostrzelców do obrońców zwierząt

Anonimowa broszurka zatoczyła szerokie kręgi i wywołała duże poruszenie. Otrzymał ją urząd powiatowy w Nowym Targu, który rozesłał ją następnie podhalańskim wójtom z poleceniem dalszego jej propagowania. Dotarła do szkół, a z nich pod strzechy, gdzie dzieci odczytywały ją ponoć dorosłym, a także do właścicieli ziemskich i różnych osobistości po obu stronach Tatr.

Jak się okazało, popełnili ją dwaj niestrudzeni obrońcy tatrzańskiej przyrody - ksiądz dr Eugeniusz Janota i profesor zoologii Uniwersytetu Jagiellońskiego Maksymilian Siła-Nowicki. Ich działalność wykraczała jednak daleko poza edukację ludu i intensywne starania o pozyskiwanie przychylności środowisk naukowych. W tym samym czasie poprzez powstałą właśnie Komisję Fizjograficzną Towarzystwa Naukowego Krakowskiego nawiązali kontakt z ówczesnymi właścicielami Tatr Polskich, Adamem Uznańskim i Edwardem Homolaczem, którzy zgodzili się, by w ich włościach działała „straż górską” - ochotnicza grupa strzegąca „zwierząt halskich” przed kłusownikami. I tu objawił się, jak się później okazało, geniusz działaczy.



Jędrzej Wala, przewodnik po Tatrach.

„Jako wzór przewodników po górach przedstawić mogę dwóch górali w Zakopanem Jędrzeja Walę i Macieja Sieczkę, niegdyś najsłynniejszych skrytostrzelców, którzy goniąc za kozami i świstakami mieli czas i sposobność poznać się dobrze z każdym prawie zakątkiem tatrzańskim, gdzie tylko się utrzyma ludzka stopa”. Ilustrowany Przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnic. Pisał i ilustrował Walery Eljasz, Poznań 1870

W skład straży zostali bowiem powołani znakomici przewodnicy a jednocześnie najskuteczniejsi tatrzańscy kłusownicy, legendarni „polowace” – Jędrzej Wala i Maciej Sieczka. Straż była finansowana w całości z prywatnych (skądinąd skromnych) funduszy działaczy, stąd nie mogli liczyć na wysokie wynagrodzenie, jednak nowa praca pozwoliła im rozstać się z trudami kłusowniczego procederu. Polowanie na kozice było przedsięwzięciem niezwykle niebezpiecznym i wyczerpującym, wymagało nie tylko doskonałej znajomości gór i kondycji fizycznej, ale i psychofizycznej odporności. Bywało, że „skrytostrzelcy” spędzali wiele dni na graniach w skrajnie trudnych warunkach, a niejeden przepadł w dzikich, górskich ostępach. A mimo to kto raz zakosztował koziarstwa, zdawał się tracić dlań głowę i serce. Niezwykłą pasję górali tak opisywał Stanisław Staszic: *Ta namiętność polowania na kozy dzikie jest w naszym góralu niezmierna, do wypowiedzenia trudna. On w niej zaciekły, żadnej przeszkody, żadnego nie widzi niebezpieczeństwa. [...] Przecież te nędzne życia jego chwile, myśliwy góral nazywa swym najwyższym szczęściem.* Życie aż nazbyt często bywało równie nędzne i u podnóża gór, a gdy głód zaglądał w oczy, żadne ryzyko nie było zbyt duże.

Po złożeniu uroczystej przysięgi dwaj sławni „koziarze” Wala i Sieczka przedzierzgnęli się w najgorętszych obrońców zagrożonych zwierząt i sumiennych pracowników, za którymi stało olbrzymie doświadczenie zdobyte za kłusowniczych czasów i niedościgniona znajomość górskich ścieżek oraz olbrzymia estyma, jaką darzyli ich mieszkańcy Podhala. Nowicki i Janota wykorzystali ją w swoim „Upomnieniu”, wymieniając nawróconych kłusowników z imienia i nazwiska, prezentując jako wzór cnót góralskich - dobrych gospodarzy, ludzi religijnych, rozumnych, zaradnych i przede wszystkim uczciwych. Co warte odnotowania, podkreślali oni, że więcej i uczciwiej niż na zabijaniu zwierząt, zarabiają oni przyjmując w swe progi turystów i oprowadzając ich po halach. Tak ochrona górskiej przyrody miała się zwrócić ładnym groszem dzięki dziewiętnastowiecznej turystyce.

Pionierska ustawa

Dzięki zaangażowaniu górali straż odnosiła duże sukcesy, a ocalenie górskich zwierząt stawało się realne jak nigdy dotąd. Miała ona jednak jedną poważną wadę, która w końcu dała o sobie znać. Strażnicy coraz częściej napotykali w górach grupy dworzan Edwarda Homolacza, który wrócił do polowań na kozice. Posyłał w góry uzbrojonych ludzi, a straż postrzegał jako przeszkodę w realizacji swoich celów. Zaciepła walka, która wywiązała się między obozami jesienią 1868 r. zapowiadała ostateczny koniec współpracy z dworem, a tym samym koniec straży. Homolacz dążył do jej likwidacji, była ona w końcu tylko prywatną inicjatywą działającą na zasadzie niepisanej umowy, tymczasem zachęeni chaosem kłusownicy wracali w góry.

Prawo własności stało za Homolaczami i w ostatecznym rozrachunku przypieczętowałyby los halskich zwierząt, gdyby nie największy z sukcesów profesora Nowickiego. 5 października 1868 r. Sejm Krajowy we Lwowie uchwalił ustawę „względem zakazu łapania, wytępienia i sprzedawania zwierząt alpejskich, właściwych Tatom, świstaka i dzikich kóz”. Podpisana przez cesarza Franciszka Józefa, weszła w życie w lipcu 1869 r. i pozostała w mocy do roku 1909 jako zwieńczenie wieloletnich starań działaczy skupionych wokół Nowickiego i Towarzystwa Fizjograficznego. Choć składała się jedynie z 6 krótkich paragrafów, zapewniła kozicom i świstakom prawną ochronę gatunkową. W myśl ustawy obowiązywać miał odtąd całkowity zakaz polowania, łapania, sprzedawania świstaków i kozic oraz świstaczego sadła, a za złamanie go groziły kary pieniężne lub osadzenie w areszcie. Jednak doniosłość tej stosunkowo prostej formy ochrony polegała nie tylko na ratunku, jaki przyniosła zagrożonym gatunkom. Była to prawdopodobnie pierwsza ustawa ochronna, która została podparta wnikliwymi badaniami nad przedmiotem ochrony i pierwsza na świecie, która nakazywała ochronę gatunku z pobudek czysto naukowych.

Pionier. Wizjoner. Ornitolog

Wraz ze wzrostem zainteresowania ogólną ochroną przyrody w XVIII-wiecznej Europie rozwinął się kiełkujący trend ochrony ptaków, który w wiekach późniejszych miał stać się jednym z najbardziej rozpoznawalnych i gromadzących najwięcej ludzi aspektem ochrony przyrody. Podejmowano pionierskie próby objęcia ochroną ptaków śpiewających i owadożernych, publikowano pierwsze prace z tej dziedziny.

Podwaliną wielu z tych inicjatyw były względy czysto utylitarne, zapoczątkowały one jednak dyskusję o potrzebie „zachowania” ptaków. Przez wieki przeciętny miłośnik ptaków dostrzegał obiekt swego uwielbienia z perspektywy talerza lub ewentualnie wywieszonej przy oknie klatki, z której dobiegał cieszący uszy śpiew. Wyłapywanie ptaków na południu i zachodzie Europy było popularną praktyką, stosowaną od wieków w takim natężeniu, że doprowadziło w końcu do zachwiania delikatnej równowagi w przyrodzie. Masowe pojawy owadów, które nawiedzały Europę w XVIII wieku, niszcząc lasy i uprawy, zwróciły uwagę na rolę, jaką ptaki owadożerne mają w zwalczaniu owadów szkodników. Pojęcie to odzwierciedlało sposób postrzegania innych gatunków i samo przez długi czas kształtowało i miało kształtować w przyszłości podejście człowieka do przyrody.

Nie ma chyba gatunku, który byłby obojętny dla absolutnie wszystkich rodzajów ludzkiej działalności, a każdy, który w jakikolwiek sposób ją utrudniał, był klasyfikowany jako szkodnik. Pod tym względem nie oszczędzano ptaków. Szpaki pożyteczne dla ochrony lasów podpadały sadownikom, leśnicy pomstowali na dzięcioły dziurawiące drzewa, a pszczelarze domagali się rozprawy z bocianami, żołniami i jaskółkami, które miały pustoszyć rodziny pszczoł. Zwłaszcza surowo oceniano duże ptaki drapieżne, oskarżając je o liczne zbrodnie. W powszechnej opinii każdy ptak o ostrych szponach i zakrzywionym dziobie był wrogiem publicznym i zasługiwał na egzekucję, czy to od szybkiej kuli, czy żelaznej pułapki miażdżącej nogi i skazującej na powolną śmierć.

Niestety, chwalebny skądinąd, ruch ochrony ptaków śpiewających wzmógł jeszcze wrogość w stosunku do drapieżnych, które obwiniano o wybijanie śpiewającej drobnicy.

Tymczasem, gdy na świecie kula, trutka i żelazo wyznaczały bezwzględną granicę między szkodnikiem a resztą żywych istot, na ziemiach polskich pojawił się wybitny ornitolog, którego poglądy wyprzedziły swoje czasy o co najmniej 70 lat. Był nim Władysław Taczanowski – pasjonat ornitologii, który od wczesnych lat życia poświęcał się badaniu ptaków, przemierzając całe Królestwo Polskie. Doświadczenie młodzieńczych wypraw procentowało w późniejszym życiu Taczanowskiego. Choć jako kustosz jednego z warszawskich gabinetów zoologicznych w późniejszych latach rzadko bywał w terenie, zauważał niedostrzegane przez innych zmiany, które w przyrodzie wywoływała działalność ludzka. Dość powiedzieć, że wiele z gatunków ptaków, jakie zaobserwował, nigdy więcej nie było już na polskich ziemiach notowanych. Poczył też obserwacje, które przywiodły go do stanowiska całkowicie sprzecznego z wyznawanymi ówczesnie poglądami.

W 1860 r. ukazało się w Warszawie dzieło pod tytułem „O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskim pod względem wpływu, jaki wywierają na gospodarstwo ogólne”. Taczanowski postulował w nim rewolucyjną jak na owe czasy ideę – potrzebę ochrony wszystkich ptaków drapieżnych. Nie tylko oczyszczał je z bezpodstawnego zarzutu wybijania ptactwa i zwierzyny w ogóle, ale i wysuwał śmiałą tezę, że tam, gdzie człowiek cywilizowany nie ingeruje zbyt w świat zwierzęcy, jedynie obecność drapieżników warunkuje obfitość ich ofiar. Podkreślał też, że nasz stosunek do ptaków i innych zwierząt powinien opierać się na badaniach naukowych. Z równą gorliwością propagował ochronę powszechnie znienawidzonego orła przedniego, co kun i lisów. Stanowisko to popierał przykładem innych krajów, w których uznanie pozytywnej roli drapieżników i innych ptaków miało rzekomo skutkować ich ochroną. Jak wykazał później inny znakomity ornitolog Jan Sokołowski, taki „przykładowy” kraj po prostu wtedy nie istniał, choć tu i ówdzie pojawiały się nieśmiałe głosy sprzeciwu wobec masowego tępienia „szkodników”. Wielu czołowych przedstawicieli europejskiej ornitologii nie wierzyło nawet w możliwość systemowej ochrony ptaków śpiewających, a powszechne uznanie użyteczności sów, myszołowów i pustulek należeć miało do przyszłości. Ochrona wszystkich ptaków drapieżnych była za czasów Taczanowskiego przyrodniczą herezją, a jej postulowanie stawia go wśród prawdziwych pionierów ochrony przyrody. Niestety te rewolucyjne idee nie padły na podatny grunt, zupełnie zapomniane czekały na ponowne odkrycie, które w Polsce miało nastąpić dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym.

Ptaki, jeże, nietoperze

Władysław Taczanowski był jednym z pierwszych działaczy, którzy dostrzegli olbrzymi, a zarazem niewykorzystany potencjał nauczycieli i duchownych. Według niego rozciągając tematykę lekcji moralności także na świat przyrody „oddaliby potomności ważne bardzo usługi i na zawsze zabezpieczyliby przechowanie w kraju użytecznych istot”. Postulat ten został w końcu spełniony i to właśnie przy okazji ochrony ptaków, lecz nie w Królestwie Polskim, a w Galicji. Kluczową rolę odegrał tu wspomniany już profesor Maksymilian Siła-Nowicki, którego działalność obejmowała znacznie większe obszary niż te leżące w cieniu Tatr.

Podczas gdy decydowały się losy ochrony kozic i świstaków, Nowicki przygotowywał projekt drugiej, równie ważnej ustawy ochroniarskiej „względem zakazu łapania i sprzedawania ptaków śpiewających i owadożernych”. W projekcie znalazły się zapisy o zakazie łapania, strzelania, sprzedawania i wybierania z gniazd ptaków uznanych za „nieszkodliwe” oraz, co ciekawe, także nietoperzy, jak również o karach przewidzianych za te występki. Niektóre środowiska zaczynały uznawać potrzebę ochrony ptaków, jednak jak dotąd jej powszechna świadomość była znikoma. O tym jak głęboko niezrozumiana była ta idea niech świadczy jeden z argumentów przeciw niej, przywołany podczas posiedzenia Sejmu Galicyjskiego: dzieci chętnie bawią się ptakami zamkniętymi

w klatkach. Na szczęście ustawa miała też gorących orędowników. Na przywołany wyżej argument celnie odpowiedział prof. UJ Józef Majer: *Zdaje się, że powód ten sam przez się jest tak mało znaczący, że chyba tylko dla zabawki był on przytoczony. Czyż bowiem może być mowa o zabawie tam, gdzie z drugiej strony występują ważne względy gospodarstwa i nie mniej ważne względy moralne?*

Po gorących apelach ustawa została w końcu przyjęta w 1868 roku, jednak nie uzyskała koniecznej sankcji cesarza. Tym razem nie oznaczało to jednak, że przepadła bez wieści. Liczne zawarte w niej postulaty powróciły sześć lat później w innym dokumencie „ustawie o ochronie niektórych zwierząt dla uprawy ziemi pożytecznych”. Różniła się ona co prawda od pierwowzoru łagodniejszymi karami, nie objęła wszystkich ptaków śpiewających, nie zapewniła wszystkim „nieszkodliwym” gatunkom okresu ochronnego w czasie lęgów, ani nie zakazała stosowania niektórych okrutnych metod, takich jak chwywanie na lep i w sidła. Już samym swoim tytułem umacniała także podział na zwierzęta pożyteczne i szkodniki. Nie miały do niej szczęścia duże ptaki szponiaste. Orzeł przedni, puchacz, bielik, obie kanie, jastrzębie i rybołów oraz liczne sokoły (w tym wędrowny, kobuz i drzemlik) zostały uznane za szkodliwe. Na czarną listę trafiły też sroka, kruk i srokosz, ale już pozostałe sowy, mniejsze sokoły, oba myszołowy i trzmiełojad zostały oczyszczone z zarzutów i objęte ochroną. W tym zacnym gronie znalazły się też liczne ptaki śpiewające oraz prześladowane niegdyś lelki, jaskółki, szpaki i dzięcioły. Nie wolno było odtąd ich chwytać, zabijać ani sprzedawać, obowiązywał też generalny zakaz wybierania i psucia ich gniazd.

Ustawa przyniosła też inne novum – poza nietoperzami w poczet zwierząt pożytecznych zostały zaliczone jeże, które po raz pierwszy znalazły się pod ochroną. Jednak kto wie, czy dla ochrony zwierząt najważniejszy nie okazał się zgoła inny, wyjątkowy paragraf. Prawdziwie skuteczne mogło stać się tylko prawo znane szerokiemu gronu odbiorców, zwłaszcza tym, którzy łamali je z braku świadomości szkodliwości swych czynów. W przypadku ptaków dużym problemem było zwłaszcza niszczenie lęgów, traktowane często jako dziecięca rozrywka, oraz ogólnie mała świadomość wśród najmłodszych. Twórcy ustawy postanowili temu zaradzić, wprowadzając obowiązek odczytywania jej zapisów w szkołach ludowych w nadziei wychowania bardziej świadomego pokolenia. Tym sposobem pod szkolne dachy po raz pierwszy zawitała wymagana przez prawo edukacja ekologiczna.

Krucjata burmistrza

Na koniec warto przytoczyć jeszcze jeden epizod z walki o ochronę ptaków, wyjątkowy nie tylko ze względu na czasy i miejsce, w których się rozegrał, lecz także z uwagi na postać działacza. Nie był to bowiem ani profesor pokroju Nowickiego, ani wykształcony ornitolog jak Taczanowski, lecz zwykły miłośnik ptaków, który okazał się osobą zupełnie niezwykłą. Historia ta zapewne nigdy nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby do naszych czasów nie dotrwał w jednym z archiwów poszyt zatytułowany „Łowienie słowików”, w którym zawarto korespondencję urzędową z lat 1839-45. Autorem listów był J. Kurkowski, burmistrz miasta Zagórów, który rozpoczął batalię o objęcie ochroną ptaków, wymienionych w tytule.

Kurkowski słał listy do Komisji Rządowych, domagając się wyjęcia spod prawa łowców słowików, którzy stali się plagą jego ojczystych stron. W swej argumentacji Kurkowski wykazywał się olbrzymią wiedzą o roli, jaką ptaki i owady odgrywają w leśnych ekosystemach. Jego zrozumienie procesów i skomplikowanych zależności w świecie przyrody wykraczało daleko poza przyjęty stan wiedzy i mogłoby zawstydzić niejednego uczonego. Z listów wyłania się ponadto postać człowieka cechującego się głęboką troską o zachowanie piękna ojczystej przyrody oraz rzadko spotykanym humanitaryzmem. Pisma dotarły do Komisji Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publicznego, a nawet Przychodów i Skarbu, i sądząc po dalszej korespondencji między nimi a Rządami Gubernialnymi, zatoczyły szerokie kręgi. I choć trudno było wyobrazić sobie na ziemiach polskich moment historyczny mniej sprzyjający ochronie przyrody, upór i oddanie burmistrza nie

poszły na marne i zakończyły się w 1845 r. spektakularnym sukcesem.

Diana Maciąga